DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 19 marca 1922 r. | Nr. 6.

MYŚLI.

Pierwej uczuj miłość dla człowieka, nim zaczniesz z nim gadać.

...Niech ci żaden dzień nie będzie obojętny, praca wewnętrzna podnosi codzień ducha, a modlitwa niech będzie sposobem do podniesienia ducha... nie zaś celem, jak to jest u ludzi formy, którzy modlitwą zaspakajają nieczynne serca... Modlitwa prawdziwa prosi Boga, aby pokazał drogi do spełnienia woli Jego, aby dał niezachwianą moc i spokojne podniesienie serca nad serca ludzkie.

...Szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą, i wiedzą o tem wszyscy, którzy tylko za szczęściem gonili i którym ten owoc w ustach zgorzkniał... albo ci, którzy go nie otrzymali i dotąd cierpią.

...Jest to trud nad trudy... wymiatanie serca swego ze wszystkich brudów, oczyszczanie wewnętrznego człowieka, tak aby, tworząc innych ludzi podług siebie, był pewny, że dobrze i dla pana Boga pracuje.

...Świat jest cały fabryką ducha, wyrabiającego w sobie miłość dla Boga...

...Można nie iść do celu Bożego, ale bawić się na świecie, robiąc różne rzeczy, ale życie takie nic nie pomoże. Można się wrócić nawet, ale życie takie jest grzechem.

Słowacki
Listy do matki.

Z życia Tadeusza Kościuszki.

IV.

Ostatnia nobilitacja.

Było to w kwietniu 1794 roku w śliczny dzień wiosenny. Chociaż był to wyborny czas do roboty, w Rzędowicach żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą niedzielą dla Rzędowian.

Miano powitać wracającego z pod Racławic Kościuszkę i jego zwycięskich wiarusów. Jakoż ruch niezwykły panował we wsi: kobiety pomagały starościnie gotować obiad dla bohaterów, a starsi chłopcy przyrządzać ławy i stoły; ba, nawet pacholęta i dziewczątka stawiały z gorączkowym pośpiechem bramę triumfalną z świeżo rozpękłych wiklin i wiecznie zielonej choiny.

Przez tę to bramę triumfalną przeciągnęła tęgim kłusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznajmiając szybkie Kościuszki przybycie. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział spiesznie kontusz i żupan swego województwa, przypiął karabelę i podając rękę starościnie, rzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pospieszyło ku bramie, a z kościoła parafjalnego ozwały się radośnie dzwony.

Na czele kosynjerów, w białe sukmany odzianych, jechał na siwej klaczy pan Tadeusz Kościuszko, w stroju tychże kosynierów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał spokój na twarzy, dziwną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej, radości, jaką tylko niebianie czuć potrafją.

Potrójne: „Niech żyje!“ ozwało się po obu stronach bramy; deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i zdjąwszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól.

Starosta ujął Kościuszkę w długi serdeczny uścisk.

Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypiec i basów. Była to niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego muzyka wiejskiego.

Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu, a gdy wreszcie wstano od stołu, Kościuszko, podając rękę starościnie, szepnął odjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potem do patrjotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę:

— Moje najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu sprawy narodowej za szlachetną pomoc, przysłaną mi rpzez Bartosza Głowackiego. Odebrałem cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałem tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Głowackiego, praca kilku lat może, może kilkunastu.

Kościuszki oko zabłysło łzą.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzickiego.

Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędowicka. W środku powiewał sztandar z orłem białym.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartosza Głowackiego.

Oficer kosynjerski wystąpił pewnym krokiem przed front, nie mogąc się atoli pozbyć pewnej układności chłopa, zbliżającego się do pana.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożywszy rękę na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczyście:

— Mój kochany Bartoszu, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze pracowitym a poczciwym rolnikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym człowiekiem, wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmieca rola twoja jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogosławi!

Bartosz skłonił się, a wnet Naczelnik ozwał się w te słowa:

— Żołnierze! Widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina, Bartosza Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby odszczególniający się w boju i dobrze zasłużony Polsce ozdobiony był zaszczytem szlachectwa, na znak, że szlachetnie służył krajowi, aby pieczętował się herbem, przypominającem potomkom obowiązek podobnej służby. Stosując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę w Polsce dziś piastujący, czynię cię, Bartoszu, wraz z potomkami twemi szlachcicem, i nadaję ci herb mój własny, herb Roch. Niech żyje porucznik Głowacki.

Głośne: „Niech żyje!" rozległo się w powietrzu.

— A wy — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego! Wiedzcie, że powołani przez ojczyznę, macie otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi.

Kosynierowie z krzykiem pogarnęli się ku Kościuszce, całując jego ręce i szaty. Bartosz, ocierając oczy sukmaną chciał wodza ująć za kolana, ale Kościuszko objął go i uściskał.

Przy wieczerzy Głowacki siedział z żoną wśród gości dystyngowanych. Trudnoć go było nakłonić do tego, ale nareszcie ustąpił naleganiom starosty. Kościuszko, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— Mości poruczniku, skądże to do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartosz zaczerwienił się, jak dziewczyna:

— Stąd, mój Bartoszu — dodał Kościuszko — żeś był szlachcicem pierwej, nimeś nim został.

V.

Zwycięstwo pod Racławicami.

Po złożeniu przysięgi na rynku krakowskim i po ogłoszeniu aktu powstania narodu polskiego, zgłosili się do Kościuszki wieśniacy z Czernichowa: Wojciech Sroka, Jan Grzywa i Tomasz Brandys, a podawszy mu czapkę zaczęli w nią wysypywać przyniesione, w trzosach dukaty. Radowało się serce wodza na widok tej ofiary wieśniaków polskich, to też oddawszy dukaty w ręce adjutanta, uściskał serdecznie tych, co je przynieśli.

Ale jeszcze większa radość czekała wodza. Gdy kilka dni później 1 kwietnia wyruszył z Krakowa, nie liczne miał wojsko, niemogące się równać z siłą nieprzyjaciela, ale oto 3 kwietnia, gdy stanął dla odpoczynku w Koniuszy ujrzał w oddali błyszczące w promieniach wiosennego słońca jakieś jasne ogniski. Patrzy — aż oto widać i białe sukmany — to zbliżał się dwutysięczny zastęp chłopów z krakowskiego powiatu uzbrojonych w nabite na sztorc kosy. Radość wielka wstąpiła w serce wodza bo czuł, że te młode, świeże, z głębi narodu wyrastające siły, muszą przynieść zwycięstwo.

Już też cały dzień był nimi zajęty, uczył ich, jak mają nacierać na wroga, jak się bronić i późną nocą dopiero ruszył dalej ku Racławicom.

Dnia 4 kwietnia zeszło jasno wiosenne słońce i napełniło otuchą polskie zastępy. — Idą, śpiewają, patrzą — aż tu pod Racławicami, na Górze Kościejowskiej stoją liczne, dobrze uzbrojone, wyćwiczone szeregi nieprzyjaciół. Ale nikt z Kościuszkowskiej drużyny się ich nie przestraszył, bo każdy czuł w sobie tę siłę wielką, co idzie z miłości Ojczyzny. — Kościuszko sprawił wojsko. Najgorsze było to, że wróg miał dwanaście armat, a on żadnej. Zawrzała walka, już Zajączek i Madaliński odparli pojedyńcze oddziały nieprzyjacielskie, ale Moskale cofnęli się pod armaty i pod ich zasłoną rażą naszych śmiało, bo wiedzą, że strzały armatnie nie dopuszczą do nich kosynierów.

Kościuszko stoi i patrzy — myśli coś waży — nareszcie zwrócił się do chłopów uzbrojonych w kosy i krzyknął wielkim głosem: „Hej, chłopcy, zabrać mi te armaty, Bóg i ojczyzna! Naprzód wiara!"

Na głos ten chłopi rzucili się bez pamięci ku ziejącym ogniem armatom. Ten i ów padł raniony kulą armatnią ale nikt na to nie zważał. Lecieli jak leci burza z ogromnym krzykiem, z ogniem w oczach, z kosą w ręku. Kościuszko obok nich na koniu, a na czele Bartosz Głowacki i Stach Świstacki, Dębicki, Gwoździski i inni, których nawet imion nie znamy.

Nie zdzierżył nawet tej sile wróg, i żelazne nie zdzierżyły armaty. Gołemi rękami zdobyła je polska chłopska wiara, a straszne gardziele zatykała czapkami.

Walczono jeszcze całych pięć godzin, ale gdy armat nie stało, wróg już był prawie p[okonany]. A Kościuszko radował się, bo czuł, że c[hł]opach jest siła, bo widział, że gdy tak wszyscy po[w]staną, cały lud, co żyje na polskiej ziemi, to żadna moc najezdnicza ujarzmić ich nie potrafi.

Przysięga Kościuszki.

Na krakowskim rynku
Wszystkie dzwony biją,
Cisną się mieszczany
Z wyciągniętą szyją.

Na krakowskim rynku
Tam ludu gromada,
Tadeusz Kościuszko
Dziś przysięgę składa.

Zagrzmiały okrzyki,
Jak tysiączne działa...
Swego bohatera
Wita Polska cała!

Wyszedł sam Kościuszko
W krakowskiej sukmanie,
Odkrył jasne czoło
Na to powitanie.

Odkrył jasne czoło
Klęknął na kolana:
„Ślubuję ci życie,
Ojczyzno kochana!

Ślubuję ci życie,
Ślubuję ci duszę,
Za Bożą pomocą
Wolność wrócić muszę!"

A mówił te słowa
W tak ogromnej ciszy,
Zdało się, że Pan Bóg
Tę przysięgę słyszy!

Zapłakał, zaszlochał.
Naród dookoła...
Wstał Kościuszko, wstrząsnął
Krakuskę u czoła.

A głosy buchnęły
Wskroś rynku i grodu:
„Niech żyje Kościuszko,
Naczelnik narodu!“

Święty Jan Kanty.

Przyjacielem i mistrzem uczącej się młodzieży, a wzorem jej i patronem pozostał na zawsze święty Jan Kanty, którego uroczystość Kościół katolicki obchodzi dnia 19-go października. Urodził się on w roku 1397, zmarł w 1427, a w końcu zeszłego wieku przez papieża Klemensa XIII w poczet świętych został zaliczony.

Galicyjskie miasto Kęty jest miejscem rodzinnem św. Jana, który jako mąż niezwykłych cnót i świątobliwości, jako uczony profesor, sławny mówca i kaznodzieja, w całym świecie chrześcijańskim znany był pod imieniem Jana z Kent.

Jako młode jeszcze chłopię Jan Kanty wstąpił do Akademji krakowskiej, gdzie najpierw pośród rówieśników swoich zajaśniał pilnością i najlepszymi obyczajami, a później został profesorem.

Otrzymawszy święcenia kapłańskie, odbył pieszo z dwoma towarzyszami pielgrzymkę do Ziemi świętej i do Rzymu. Później był proboszczem w Olkuszu, lecz wnet prosił biskupa o pozwolenie powrotu na katedrę profesorską, gdyż praca przy kształceniu młodzieńczych serc i umysłów była mu najmilszą.

Do czynów swoich Jan Kanty stosował zawsze te zasady chrześcijańskie, które wygłaszał. Miewając ówczesnym zwyczajem, publiczne dysputy naukowe, częstokroć wiedzą przewyższał, a pięknością i siłą przekonywającej słuchaczów wymowy, przyćmiewał innych mówców. Nie pysznił się jednak nigdy z wyższości swego umysłu, ani z daru słowa: uczony profesor, sławny teolog i kaznodzieja, cichy był i pokorny jak prostaczek.

Miłosierdzie i ofiarność Jana z Kent nie znały granic. Raz w zimie spotkał ubogiego boso: bez wachania zdjąwszy z nóg swoje obuwie, oddał je biedakowi, a płaszcz spuścił do samej ziemi, aby swój miłosierny uczynek skryć przed oczyma przechodniów. Kiedyindziej, gdy z uczniami swoimi siedział u stołu, żebrak przez otwarte okno prosił go o jałmużnę. Jan oddał mu zaraz swoją porcję. W tej chwili stał się cud: przed świątobliwym kapłanem pojawiła się inna porcja tejże samej potrawy, którą on, odmówiwszy dziękczynną modlitwę spożył. Na pamiątkę tego cudu, przy stole profesorów akademji codzień zasiadał ubogi. Służący oznajmiał jego przybycie, mówiąc: „Ubogi przyszedł“. A najstarszy z obecnych odpowiadał: „Chrystus przyszedł“. Ten piękny, chrześcijański zwyczaj utrzymał się bardzo długo.

Nietylko nędza lub niedostatek, ale każdy kłopot, każdy frasunek bliźniego obudzał w Janie współczucie i chęć zaradzenia złemu.

W pewien pogodny, słoneczny poranek czerwcowy, spotkał na rynku młodą, płaczącą wieśniaczkę; upuściła dzban z mlekiem, stłukła go i bała się gniewu swej pani, która ją na targ wysłała. Święty kapłan zebrał rozrzucone po ziemi skorupy i pomodliwszy się, oddał cały dzban uradowanej i zdziwionej dziewczynie, a gdy za jego rozkazem w naczynie naczerpała wody z rzeczki Rudawy, znakiem krzyża św. tę wodę w mleko przemienił.

Niepodobna przytaczać wszystkich świątobliwych czynów Jana z Kent, które ksiądz Piotr Skarga w „Żywotach Świętych“ szczegółowo opisał, powiemy tylko jeszcze parę słów o zasadach, które w serca uczniów swoich usiłował wszczepiać.

„Prawdę miłujcie nadewszystko!“ — zalecał on, który o ile całą mocą swej duszy kochał prawdę i sprawiedliwość o tyle znów brzydził się obmową i fałszem! Na ścianach komnaty, gdzie przyjmował odwiedzających, kazał umieścić łaciński napis: „Strzeż się czernić bliźniego, gdyż pod ciężkim grzechem musiałbyś to odwołać“.

Św. Jan Kanty był dobry i miłościwy dla ubogich, oddawał im wszystkie swoje dochody. Gdy spotkał zimą bosego żebraka, zdejmował obuwie z nóg swoich i oddawał ubogiemu, a sam boso wracał do domu. Spotkawszy zziębniętego biedaka, ściągał płaszcz z ramion swoich i okrywał nim nieszczęśliwego.

Razu pewnego gdy szedł przez las, napadli go zbójcy, żądając pieniędzy i grożąc śmiercią.

Święty oddał im woreczek z pieniędzmi. Ale zbóje wołali:

— Pewnie masz więcej, oddaj wszystko!

— Nie mam już ani grosza.

— Przysięgnij!

— Po co mam przysięgać! Wierzcie memu słowu!

Zbóje przetrząsnęli jego szaty i, nic nie znalazłszy, odeszli.

Jan Kanty, zostawszy sam, przypomniał sobie, że ma jeszcze kilka dukatów, zaszytych w płaszczu:

Przeląkł się bardzo i zaczął biedz za rozbójnikami wołając: — Stójcie, bracia, stójcie. A gdy zbóje wrócili, oddał im dukaty mówiąc: — Darujcie; mimowoli skłamałem, oto te pieniądze miałem zaszyte, a zapomniałem o nich. Ale na szczęście nie byliście jeszcze daleko i mogłem mój błąd naprawić. Zdumieli się i przelękli zbóje, widząc, że ze świętym człowiekiem mają do czynienia — oddali zabrane pieniądze i obiecali poprawę.

I rzeczywiście, cóż jest piękniejsze, godniejsze czci nad prawdę?... Co nędzniejsze nad obłudę i obmowę?... O bliźnich, w ich nieobecności, powinniśmy zawsze tak mówić, jakbyśmy pragnęli, aby o nas mówiono, a dobre imię, ten najcenniejszy skarb człowieka, równie łatwo plami obmowa, jak błoto i pył szybko brudzą cudny kwiat lilji śnieżystej białości. A więc kochajmy prawdę, a wystrzegajmy się obmowy!

Wieliczka.

Złota, srebra i drogich kamieni nie posiada Polska prawie wcale, za to dał jej Bóg obficie chleba, oraz soli, aby można ten chleb posolić. Chlebem i solą witali nasi przodkowie gości — chleb i sól stały prawie zawsze w każdym polskim domu na stole. Choć sól jest bardzo ludziom potrzebna, jednakże są kraje, jak np. Czechy, Szwajcarja, Serbja i t. d., które jej nie posiadają. Polska zawiera nieprzebrane pokłady soli, oraz źródła solne. Sławne są kopalnie soli w Bochni i Wieliczce (Małopolska), które dawniej były pierwszymi co do wielkości na kuli ziemskiej, oraz

uważano je za ósmy cud świata. Z dalekich krain przybywali sławni i uczeni mężowie, celem zwiedzenia żup, czyli kopalni wielickich.

Początek kopalni w Wieliczce ginie w mgle wieków. Niezawodnie już nasi pogańscy przodkowie używali słonej wody, która się tu z głębi ziemi na wierzch wydobywała. Podług podania ludowego królewna węgierska święta Kinga, zostawszy żoną Bolesława Wstydliwego, chciała zabrać ze sobą do Polski jedną kopalnię soli i wrzuciła do niej swój pierścień. Przybywszy do Krakowa, kazała kopać w okolicy i znaleziono w Wieliczce pierścień jej w bryle soli. W rzeczywistości zaś musiało być tak, że Kinga sprowadziła z Węgier górników, którzy sól w Wieliczce odkryli.

Od tego czasu upłynęło lat 600, a sól ciągle wydobywają i jest jej jeszcze nieprzebrana ilość. W rozmaity sposób można się dostać do wnętrza kopalni: windą, po schodach, albo spuścić się na grubych linach. Dziwnie ponuro i uroczyście zarazem wyglądają pod ziemią te ciemne sklepienia, podparte ogromnymi słupami soli lub stosami pni drzewnych. Światło słońca nie dochodzi tu nigdy; kto się spuszcza pod ziemię, wchodzi w wieczną noc, czarną i ponurą.

Czy na dworze słota i burza, czy mróz lub skwar letni, tu zawsze jeden i ten sam chłód, powietrze czyste, bez odmian i burz. Zamiast słońca i gwiazd migają blade kagańce robotników w ciemnych korytarzach i na chodnikach, pnących się w górę po stromych urwiskach. Gdzie się tylko dotkniesz, wszędzie twarda, kamienna sól: ściany z soli, sklepienia z soli, podłoga z soli.

Zaraz na pierwszym piętrze znajduje się kaplica świętego Antoniego. Stopnie, ołtarz, krzyż, świeczniki, ambona i posągi — wszystko wykute z soli. Odprawia się tu nabożeństwo dla górników, których kilkuset w kopalni pracuje. Sól wyrąbują żelaznymi drągami lub rozsadzają prochem, ładują w beczki, a potem wyciągają w górę.

Prócz pierwszego piętra, są jeszcze dwa niższe, do których się schodzi wykutymi w soli schodami. Jest tych schodów przeszło 1000, bo głębokość kopalni wielka; a tyle w niej dróg i chodników, że, chcąc wszystko dobrze obejrzeć, trzebaby ze cztery tygodnie do kopalni chodzić.

Do przewożenia soli urządzona jest w kopalni nawet kolejka żelazna, po której konie ciągną wózki, naładowane solą. W jednej z obszerniejszych pieczar jest piękny dworzec kolejowy, który ślicznie wygląda, oświetlony kolorowymi lampkami. W innej pieczarze jest wielkie podziemne jezioro, w którym można pływać łodzią albo promem, i które oświetlają niekiedy lampami i wspaniałymi ogniami.

Rozmaitości.

Cmentarz samochodów. Kradzieże samochodów są w miastach Stanów Zjednoczonych na porządku dziennym, miastem jednak, stojącym pod tym względem na pierwszym miejscu stoi Chicago.

W ciągu roku, kończącego się 31 lipca, skradziono w tym mieście 928 samochodów. Z liczby tej znaleziono następnie 210, opuszczonych na drogach w okolicach miasta. Detektywi zaś towarzystw ubezpieczeń przeciwko kradzieżom odkryli jeszcze około setki pod warstwą nowej farby, nałożonej na ukradzione samochody przez złodziejów.

Bądź co bądź jednak, około 60 procent samochodów ukradzionych pozostało niewykrytych. Była to zbyt duża strata dla towarzystw ubezpieczeń od kradzieży, towarzystwa te więc zwróciły się o pomoc do słynnej w Stanach Zjednoczonych agencji śledczej Pinkertona.

I oto, jeden z detektywów tej agencji, idąc za widocznymi w rozmokłej ziemi śladami kół skradzionego właśnie samochodu, dotarł aż, do brzegu jeziorka Summit, położonego w odległości 8 kilometrów od Chicago.

Jeziorko to, obejmujące około tysiąca metrów kwadratowych, a mierzące do 30 metrów głębokości, powstało na miejscu dawnego kamieniopłomu wskutek deszczów i przesiąkania wody zaskórnej.

Ślady samochodu kończyły się nagle na urwistym jego brzegu, nie ulegało więc wątpliwości, że samochód runął do jeziora. Wobec tego zawezwano zawodowego nurka, Franka Blaina, aby zbadał dno jeziora.

Rezultat był wprost nadzwyczajny. Powróciwszy do łodzi, z której spuścił się był na dno jeziora, Blair oświadczył zdumionym przedstawicielom agencji Pinkertona, że dno jeziora jest dosłownie usiane zatopionymi samochodami, leżącymi jedne na drugich.

Z początku przypuszczano, że Blair przesadza, gdy wszakże ustawiono na brzegu jeziora windę parową z żórawiem i rozpoczęto, przy pomocy nurka, pracę nad wyławianiem samochodów z tego prawdziwego ich cmentarza, to przekonano się, że Blair mówił prawdę, od chwili bowiem rozpoczęcia robót nie upłynęło dnia bez wyłowienia jednego lub kilku samochodów z dna jeziorka.

Wiele z nich jest bardzo kosztownych i możliwych jeszcze do naprawienia, a reputacja i zamożność ich właścicieli nie pozwala wątpić, że samochody te były w rzeczywiście skradzione. Detektywi jednak Pinkertona stwierdzili również, że niektóre z samochodów wyłowionych są bardzo staremi pudłami, pomalowanymi i odświeżonymi przed zatopieniem, co naprowadza na ślad całej bandy wyzyskiwaczów, która kupowała stare, zużyte samochody, odświeżała je i ubezpieczała wysoko od kradzieży, a następnie udawała, że samochody uległy skradzeniu, w rzeczywistości zaś topiła je w jeziorku Summit.

Humor i satyra.

Genjalny człowiek.

Franek pokazuje Walkowi, przechadzającego się ulicą, Gryzipiórka — Patrz, ten to ci mądry człek — wszystko umie. Prawdziwy genjusz.

— A cóż on umie?

— Powiadam ci wszystko!.. Umie pisać skargi, listy, podania i co zechcesz... Umie komuś łatkę przypisać, umie drugim buty uszyć, umie każdemu stołek przystawić, umie nawet na całem znaleźć dziurę, aby spisać skargę. To ci głowa!

Źle trafił.

— Proszę pana o jakąkolwiek jałmuznę. Jestem w okropnym położeniu. Ustawicznie ściga mnie jakieś nieszczęście.

— Jestem tajnym policjantem więc za żebraninę aresztuję cię natychmiast. Powiedz mi, jakieto nieszczęście cię prześladuje?

— Czyż to nie jest nieszczęściem, że djabli pana przynieśli na te ulicę, aby mię aresztować?